

Legalna praca na czarno

21 kwietnia 2015

Zawsze mierzyla mnie pedagogika wstydu – niezależnie od tego, czy serwowana była przez głównonurtowe „oświecone elity”, czy przez „prawdziwych i niepokornych Polaków”. Według tej dydaktycznej logiki powinniśmy – właściwie permanentnie – odczuwać wstyd za naszą prowincjonalność i za to, jak nas widzą na tak zwanym Zachodzie, odwiecznym źródle cywilizowanych norm i wartości, wobec którego nam, prostackim tubylcom znad Wisły, pozostaje tylko przyjąć pozycję pokornego naśladowcy. Tymczasem wystarczy obejrzeć z bliska weekendowe eskapady zerwanych z łańcucha młodych Brytyjczyków w Krakowie czy Wrocławiu, żeby przekonać się, że inne narody w „robieniu trzody” mają dużo większe osiągnięcia niż my i nie zmieniają tego żadne jajka zajądane przez naszych rodaków podczas podróży samolotem. Uśmiech politowania wzbudzają we mnie krzyki o tym, jakiego to wstydu narobił nam prezydent, bo wlażł na podest, na który podobno się nie wchodzi – wstyd, jeśli już, przynosił swemu państwu raczej premier Włoch organizujący balangi z roznegliżowanymi modelkami (na których notabene świetnie bawił się np. premier Czech) albo prezydent Francji, cichaczem wymykający się na seksualne schadзки niczym napalony nastolatek. A jednak, o ile wiem, ich rodacy nie odczuwają wskutek wybryków swoich przedstawicieli jakichś przesadnych wyrzutów sumienia. Zupełnie nie wiem, dlaczego to akurat Polacy mieliby być pierwsi do samobiczowania.

Z drugiej strony, kilka rzeczywistych powodów do krytyki naszej wspólnoty by się znalazło, ale o nich jakoś nie zamierzają się zająknąć ani „elity” spod znaku Pieńkowskiej i Kuźniara, ani niepokorni Polacy w rodzaju Warzechy czy Lisickiego. Największym z nich jest degrengolada polskiego rynku pracy.

Można przejrzeć setki statystyk dotyczących polskiego rynku pracy, a i tak nic nie zobrazuje sytuacji lepiej niż jeden

reprezentatywny przykład „z życia wzięty”. Przypadkowo na taki właśnie niedawno się natknąłem – były to informacje na temat warunków, w jakich pracują zatrudnieni w salonach Reserved, a więc jednej z największych polskich marek odzieżowych. Regułą jest tam umowa zlecenie ze stawką około 10 zł brutto za godzinę. Wystarczy dokonać prostego obliczenia, żeby zrozumieć, że jest to ordynarny sposób na obejście płacy minimalnej – 10 zł razy 160 godzin w przeciętnym miesiącu pracy daje 1600 zł brutto, a więc wyraźnie poniżej pensji minimalnej, która obecnie wynosi 1750 zł. Co więcej, jest to praktyka właściwie nielegalna – „Kodeks pracy” wyraźnie stanowi bowiem, że każda relacja między stronami umowy, która spełnia kryteria stosunku pracy, powinna być za taką uznawana niezależnie od tego, jak strony formalnie nazwą samą umowę. Kryteria te to świadczenie pracy w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę, na jego rachunek i pod jego kierownictwem. Każdy człowiek pozostający przy zdrowych zmysłach przyzna, że praca w Reserved spełnia te przesłanki. Kasjerki i kasjerzy nie mogą kasować klientów za ciuchy u siebie pod blokiem, a dziewczyny składające swetry nie mogą robić tego w domu późnym wieczorem, lecz wszystko to siłą rzeczy muszą wykonywać w sklepie – w wyznaczonych godzinach i pod czujnym okiem wymagających kierowników. Nie ulega wątpliwości, że w świetle prawa powinni być zatrudnieni na umowach o pracę. Na jakiej zasadzie podpisuje się z nimi umowy zlecenie? Prawem kaduka – po prostu wielka sieć odzieżowa może w Polsce łamać „Kodeks pracy” zupełnie oficjalnie, niczym się nie przejmując. Jednak najbardziej bulwersujący jest fakt, że z reguły pierwsza umowa jest w Reserved podpisywana dopiero po miesiącu pracy, który jest swoistym okresem próbnym. O zasadzie tej mówi się nowym pracownikom zupełnie oficjalnie.

Jak zdegenerowany musi być nasz rynek pracy, skoro nawet wielka sieć odzieżowa, obecna w niemal każdej galerii handlowej, należąca do jednej z największych polskich spółek odzieżowych LPP, może pozwolić sobie na tak bezceremonialne traktowanie „Kodeksu pracy”? Jak niskie muszą być powszechnie

obowiązujące w Polsce standardy, jeśli nawet największe firmy mogą – zupełnie się z tym nie kryjąc – bez konsekwencji zatrudniać nowych pracowników przez miesiąc bez umowy, bo w ten sposób, jeśli się nie sprawdzą, zawsze można będzie jeszcze bardziej oszczędzić na podatku i składkach? W jak głębokim poważaniu musi mieć kontrole Państwowej Inspekcji Pracy i innych instytucji szefostwo dużej spółki, która część swych pracowników zatrudnia de facto na czarno? Oczywiście kruczki prawne, dzięki którym w razie kontroli będzie można się wywinąć od kary, zawsze się znajdują – w stosunku do osób zatrudnionych na umowach cywilnoprawnych zawsze powołać się można na „Kodeks cywilny”, który nie określa wymaganego momentu podpisania umowy. A więc nic nie stoi na przeszkodzie, żeby umowę podpisać w czasie, gdy wykonywanie zlecenia trwa już w najlepsze. Jasne, niby przewidziano 7 dni na zgłoszenie osoby do ubezpieczenia, ale w razie kontroli zawsze można powiedzieć, że akurat te dziewczyny pracują dopiero od trzech. Nie mówiąc już o tym, że studentek i studentów w ogóle nie trzeba ubezpieczać.

W ten oto sposób przedsiębiorca może jawnie śmiać się w twarz reprezentującym państwo inspektorom PIP, którzy zwykle rozkładają bezradnie ręce, bo przecież osoby zatrudnione na umowach zlecenie to nie pracownicy, więc ta instytucja nic do ich sytuacji nie ma. Owszem, można ustalić stosunek pracy, ale orzeczenie może wydać tylko sąd, najlepiej na wniosek strony. Jeśli takiego wniosku nie ma, obowiązuje zasada swobody podpisywania umów. Bardzo wygodna interpretacja – dzięki temu inspektorzy pracy nie muszą się ruszać zza biurka, a ich sumienia pozostają czyste. Przecież gdyby nagle mieli sami, z własnej inicjatywy zacząć pisać powództwa o ustalenie stosunku pracy (co mogą robić), to w warunkach polskiej degrengolady – do której zresztą sami dopuścili – byliby zawałeni robotą. A po co, skoro mogą umyć ręce, dzięki czemu wszyscy będą szczęśliwi – pracodawcy, kontrolerzy, a w zasadzie to nawet i pracownicy powinni być, no bo tak na dobrą sprawę chcącemu nie dzieje się krzywda, prawda?

Tak właśnie wyglądają realia naszego rynku pracy. Bo – nie oszukujmy się – podobne praktyki to w Polsce norma, a nie wyjątek. Gdybyśmy przyjrzelі się bliżej sklepom odzieżowym dowolnej innej marki, to sytuacja wyglądałaby pewnie bliźniaczo podobnie do tej z salonów Reserved. Właściciele spółek odzieżowych, handlowych czy gastronomicznych oraz ich ajenci bez mrugnięcia okiem omijają „Kodeks pracy”, oferując pracownikom umowy zlecenie, choć charakter ich zadań spełnia wszystkie przesłanki stosunku pracy i tak powinien być traktowany. Państwowa Inspekcja Pracy przymyka na ten proceder oko, przyjmując wygodną dla siebie „postawę wyczekiwania” na skargi pracowników, choć gdyby jej inspektorzy wpadli do takiej, dajmy na to, Galerii Katowickiej i zechcieli przeprowadzać w niej rzetelne kontrole, to po wystawione mandaty trzeba byłoby chyba podjechać ciężarówką. Nowo wchodzącym na rynek pracy młodym Polakom firmy handlowe oferują pierwszy miesiąc pracy „bez umowy”, czym od początku kariery zawodowej uczą ich kombinatorstwa, „robienia na lewo” i tego, że przepisy należy raczej omijać niż ich przestrzegać. Prawdziwie solidarnej wspólnoty nie doczekamy się chyba nigdy z taką szkołą życia, jaką serwuje wchodzącym na rynek pracy młodym Polkom i Polakom duża część pracodawców rodzimych lub działających w naszym kraju.

Najbardziej przykre w tym wszystkim jest to, że w opisanym procederze brylują rodzime firmy, których spółka LPP (właściciel marek Reserved, Cropp czy House) jest koronnym przykładem. Od czasu, gdy LPP ogłosiła przeprowadzkę swoich marek na Cypr, by móc swobodnie wyprowadzać dochody do raju podatkowego na Wyspie Afrodyty, podejrzewać można, że władarze spółki oraz jej ajenci mają się za mitycznych Sarmatów, którzy przybyli nad Wisłę kolonizować zastany tutaj plebs. A na rzecz plebsu nie warto ponosić kosztów większych niż te absolutnie niezbędne do osiągnięcia zysku. O ile można jeszcze jakoś zrozumieć – co nie znaczy: pochwalić – zatrudnianie w opisany sposób w niewielkich szmateksach, których byt oraz dochód są równie niepewne jak utrzymanie przez nie miejsc pracy, to już

wysyłania pracowników na umowy śmieciowe lub okresowo nawet do szarej strefy przez wielką firmę, zatrudniającą tysiące osób i mającą stabilną pozycję na rynku, nie sposób nazwać inaczej niż rozbojem w biały dzień.

Z drugiej strony trudno się dziwić, że zamiast rynku pracy mamy w Polsce Dzikie Zachód. Firmy działające w naszym kraju, kierując się jedyną znaną im logiką (czyli rynkową), dokonały bilansu zysków i ewentualnych strat, z którego wyszło im, że opłaca się naginać prawo. I nie chodzi tu tylko o wyjątkowo małą aktywność PIP, ale też o śmieszną wysokość kar. Maksymalny mandat za łamanie „Kodeksu pracy” wynosi w Polsce 2 tys. zł, a dla recydywistów 5 tys. Przykładowo we Francji taki mandat może wynosić nawet... 45 tys. euro. Dlatego nad Sekwaną takie swobodne interpretowanie prawa pracy po prostu się nie opłaca. Co ciekawe, pomimo że liczba kontroli PIP jest tak niewielka, to jej aktywność wciąż spada. W roku 2010 przeprowadzono 95 tys. kontroli, rok później już tylko 90,6 tys., a w 2012 r. dokładnie 89 949. I to pomimo faktu, że liczba inspektorów w tym czasie wzrosła.

Największym bodaj absurdem pozostaje przepis, który stanowi, że kontrolę PIP należy... zapowiedzieć z 7-dniowym wyprzedzeniem. W takiej sytuacji to i tak cud, że inspektorzy pracy wystawiają w Polsce jakiekolwiek mandaty. Jedną z niewielu jaskółek pozytywnych zmian jest fakt, że do prac sejmowych trafił ostatnio projekt nowelizacji prawa, która zniosłaby ten wymóg. Swoją drogą, należałoby chyba pogratulować posłom refleksu – zorientowali się, że coś tu nie gra, po, bagatela, 8 latach od wprowadzenia ustawy o PIP. Nikogo też chyba nie zdziwi, że rządowy projekt zmian w prawie negatywnie zaopiniowała Konfederacja Pracodawców Lewiatan. Reasumując: bez częstszych kontroli PIP, bez zniesienia wymogu ich zapowiadania, a także bez wyraźnego podniesienia kar za łamanie prawa pracy, nic się na naszym patologicznym rynku pracy nie zmieni.

Papież Franciszek, belka w oku wolnorynkowych katolików,

wypowiedział niedawno wspaniałe słowa: „Jeśli ktoś chodzi na mszę w każdą niedzielę i przystępuje do komunii, można go zapytać: a jakie są twoje relacje z pracownikami? Zatrudniasz ich na czarno? Płacisz im sprawiedliwą pensję? Odprowadzasz składkę emerytalną i zdrowotną?” Należałoby zaapelować do polskich duchownych, by w zgodzie z obecną wykładnią Kościoła pod żadnym pozorem nie udzielali Komunii świętej kadrom zarządzającym spółką LPP oraz jej podmiotami zależnymi. Oczywiście jeśli mają w ogóle czelność jeszcze do niej przystępować. A podczas szczerej spowiedzi może warto zapytać wierzących przedsiębiorców, czy nie omijają lub nie łamią prawa podczas zatrudniania swoich pracowników – jestem pewien, że żaden z nich podczas sakramentu pokuty nie wymienia tego jako grzechu, choć jest to zjawisko nagminne. A jak wiadomo trwanie w grzechu jest powodem do odmowy udzielenia rozgrzeszenia. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego Kościół katolicki traktuje tych pracodawców, którzy uporczywie łamią prawo pracy dużo lepiej niż choćby pary żyjące bez ślubu. Trudno nie odnieść wrażenia, że nasi duchowni traktują życie seksualne i rodzinne jako jedyną sferę życia, którą należy rozpatrywać z perspektywy moralnej.

Niestety w Polsce sfera gospodarowania generalnie nie jest uznawana za obszar życia moralnego – nie tylko przez duchownych, ale i resztę społeczeństwa. Jedyną racjonalną zasadą życia ekonomicznego jawi się nam zysk, a jakikolwiek namysł moralny w tym obszarze jest w Polsce uznawany za wyraz zwykłej naiwności lub w najlepszym razie za zbędną ekstrawagancję. Tymczasem póki nie uznamy zasad etyki za integralną część życia gospodarczego, nadrzędną w stosunku do zysku, to wciąż przepisy takie jak „Kodeks pracy” będą powszechnie uznawane za nieżyciowe dziwadło, a łamanie ich za sympatyczny przykład „polskiej zaradności”. Póki nie zaczniemy naginania i obchodzenia prawa przez podmioty gospodarcze nazywać wprost bandytyzmem, polski rynek pracy nadal będzie przypominał Dzikie Zachód, z tą różnicą, że refleks i dobry rewolwer zastąpiła przewaga ekonomiczna. A jak wiemy z

westernów, rdzennym mieszkańcom Ameryki czasy Dzikiego Zachodu na dobre raczej nie wyszły – podobnie nie wychodzą na dobre tubylcom znad Wisły.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl